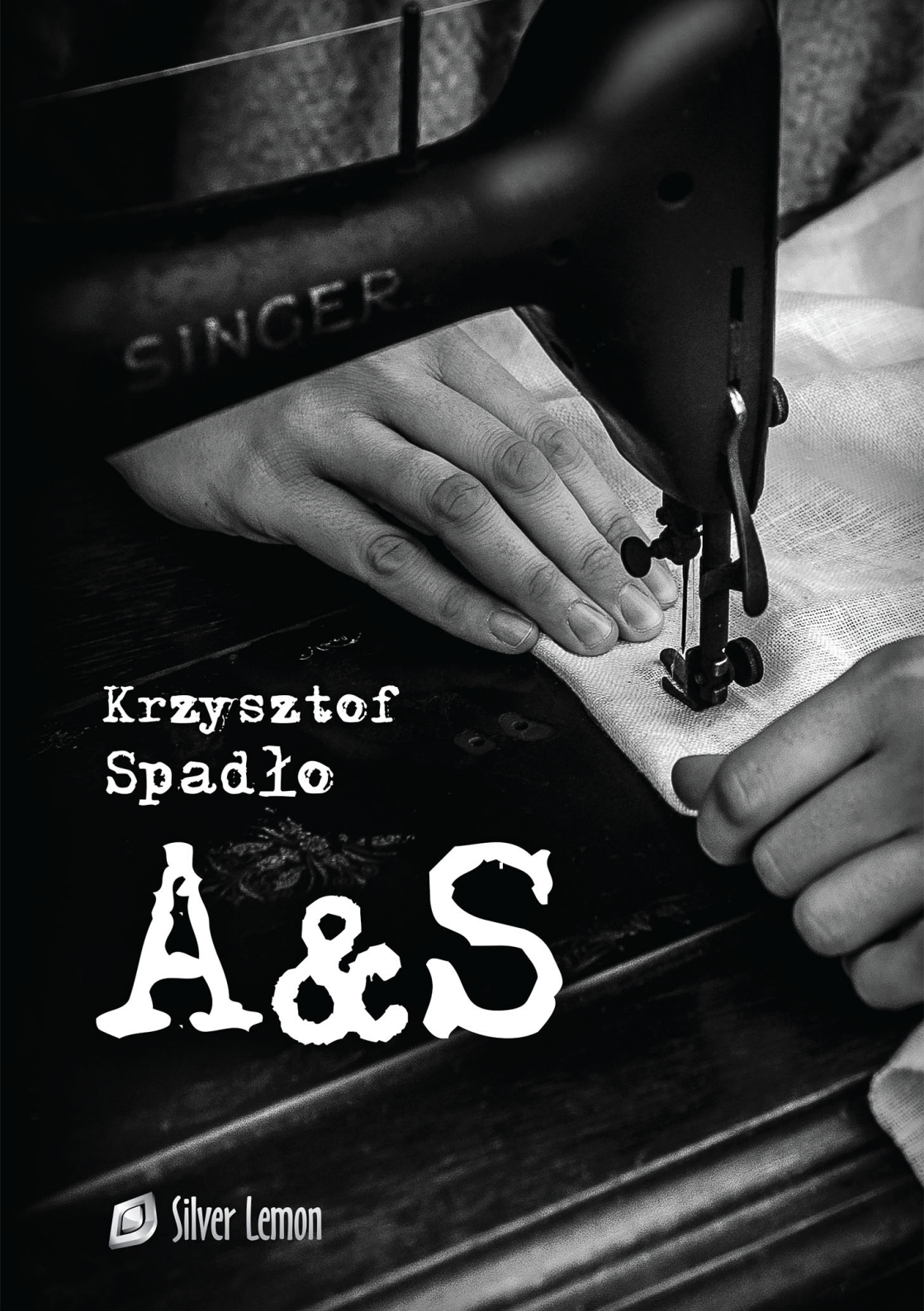


A black and white photograph of a vintage Singer sewing machine. A person's hands are visible, guiding a piece of light-colored fabric under the machine's needle. The word "SINGER" is embossed on the side of the machine. The overall tone is nostalgic and artistic.

Krzysztof
Spadło

A&S

Krzysztof Spadło

A&S

PROJEKT OKŁADKI:
Dariusz Herbowski

ZDJĘCIE:
Dariusz Herbowski

ILUSTRACJE:
Jacek Gryczewski

KOREKTA I REDAKCJA:
Małgorzata Wawrzyniak

ISBN:
978-83-959823-0-9

WYDAWCA:
KAGO

KONTAKT:
kago@skazaniec.com

Copyright © 2020 Krzysztof Spadło & KAGO
www.skazaniec.com
krzysztof.spadlo@skazaniec.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub
całości bez zgody wydawcy zabronione.

[Kup książkę](#)

*Mojej córce Zosi
z wyrazami ojcowskiej miłości.*

Latem 1922 roku transatlantycki statek „Rotterdam IV” nadal uchodził za najbardziej komfortową, pływającą jednostkę świata. Liczył już sobie ponad czternaście lat i jednorazowo mógł zabrać na pokład ponad trzy i pół tysiąca pasażerów. Potężny okręt był dumą holenderskiej floty i pokonywał trasę Rotterdam – Nowy Jork – Rotterdam. Niekwestionowany król mórz i oceanów posiadał ekskluzywne kajuty pierwszej klasy, przeznaczone wyłącznie dla przedstawicieli wyższych sfer. Podczas każdego rejsu, mogło w nich gościć dokładnie pięćset dwadzieścia osób. Majętni podróżni mieli do dyspozycji okazałą restaurację, dwie kawiarnie, kasyno, salę koncertową, gabinet fryzjersko-kosmetyczny, oszklony pokład widokowy oraz rozległy taras zewnętrzny. Bilety drugiej klasy zapewniały miejsca pięciuset pięćdziesięciu pięciu osobom i cieszyły się popularnością pośród zamożnych mieszczan. Wystrój wnętrza nie był tak imponujący, jak na najdroższym pokładzie, ale komfortem przewyższał o niebo warunki, które panowały w wieloosobowych kajutach o najniższym standardzie. Pomieszczenia trzeciej klasy znajdowały się na czterech poziomach i były pozbawione okien. Panował tam tłok, a w powietrzu unosił się ciężki, specyficzny zaduch. Z bezustannie obleganych toalet zionął kwaśny odór fekalii.

Nawet skomplikowany system wentylacji, który pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie potrafił sobie poradzić z cuchnącym wyzwaniem. Piętrowe koja przypominały więzienne prycze, ale były w miarę wygodne.

Rejs w jedną stronę trwał ponad pięć dni. Jednak spośród dwóch i pół tysiąca ludzi, podróżujących trzecią klasą, nikt nie narzekał. Nikt nie marudził i nie grymasił. Nikt nie rozpaczał, że prawie przez rok musiał oszczędzać pieniądze na zakup biletu, którego równowartość wynosiła ponad cztery miesiące ciężkiej pracy, bolesnej harówki okupionej bólem i poczuciem społecznej niesprawiedliwości. Bilet był lekki niczym piórko, ale dla każdego z tych ludzi ów zwykły świstek papieru stanowił magiczną przepustkę do wrót lepszego świata.

Był nadzieją na spełnienie marzeń.

Jedynymi elementami, które wyglądały identycznie na pokładach każdej klasy, były duże zegary. Swoim kształtem przypominały charakterystyczne horologiumy z dworców kolejowych i wisiały nad wszystkimi wyjściami, wiodącymi na zewnętrzne tarasy. Zegary w trakcie podróży pokazywały aktualny czas. Stewardzi zmienili położenie wskazówek, cofając je o sześćdziesiąt minut w momencie, kiedy okręt przekraczał kolejne piętnaście stopni długości geograficznej. Większość pasażerów miała dzięki temu okazję ustawić swoje czasomierze do obowiązującej godziny.

Poranne lipcowe słońce, mieniło się złocistym blaskiem na nieskazitelnie błękitnym niebie. Jak okiem sięgnąć, z każdej strony rozpościerały się wody oceanu. Ich toń miała ciemnoniebieską barwę, która kołysała się w delikatnych podmuchach wiatru.

Przy balustradzie otaczającej rozległy taras widokowy na szczytowym pokładzie, stał samotnie mężczyzna ubrany w czarny garnitur i wpatrywał się w nieznacznie wygiętą linię horyzontu. Na twarzy czuł przyjemne promienie wschodzącego słońca, a w jego nozdrzach panoszył się zapach, którego nigdy wcześniej nie miał okazji doznać. Ów człowiek trwał w miejscu od kilku minut, rozkoszował się szumem fal, a w myślach toczył rozmowę ze swoim najlepszym przyjacielem. *„Przyznam szczerze, że przeraża mnie ogrom świata – szepnął w duchu. – Na lądzie trudno sobie wyobrazić czym jest bezkres oceanu sięgającego aż po kres horyzontu. Tylko niebo, woda i statek, którym płynę. W porcie wydawał się kolosem, ale tutaj – westchnął – przypomina jedynie lichą łupinę orzecha. – Po chwili skierował wzrok na ciemną taflę leniwie kołyszącego się Atlantyku i zapytał w myślach: – Cóż takiego kryje się w głębinach oceanu? Zapewne roi się tam od istot, które stworzyłeś i nadałeś ich egzystencji sens. Ty powołałeś je do życia i być może któregoś dnia, człowiek zrozumie, dlaczego to uczyniłeś. – Mężczyzna odetchnął pełną piersią, zerknął na zegarek i nagle pomyślał o czymś zupełnie innym: – To naprawdę przedziwne uczucie mieć świadomość, że ja jestem tu i teraz, a gdzieś w odległych zakątkach świata dzieją się rzeczy, o których nie mam pojęcia i zapewne nigdy się nie dowiem.*

Od chwili, kiedy holenderski transatlantyk ruszył w rejs, było wiadomo, że podróż do portu w Nowym Jorku zajmie około pięciu dni. Jednak nikt nie był w stanie precyzyjnie określić, jak długo potrwa rejs. Kapitan Ruben van Molen, zapewne byłby bardzo szczęśliwy, gdyby udało mu się pokonać trasę w krótszym czasie niż cztery dni, dwadzieścia dwie godziny i trzydzieści trzy minuty. Wówczas na szczycie

masztu „Rotterdam IV” zawisnąłby błękitny proporzec, a jego dowódca okryty chwałą, dołączyłby do zacnego grona tych, którym udało się przemierzyć ocean w rekordowym czasie. Błękitna Wstęga Atlantyku była bowiem od wielu lat, najbardziej pożądanym trofeum wszystkich wilków morskich. Jednak przez ostatnich piętnaście lat, niepokonanym zwycięzcą nadal pozostawał brytyjski okręt RMS Mauretania.

21 lipca 1922 roku kapitan van Molen nie miał żadnych szans, żeby sięgnąć po ów prestiżowy laur. W obecnej chwili statek płynął już pięć dni, dwie godziny oraz czterdzieści osiem minut. Poza tym wszystko wskazywało na to, że dopiero za cztery lub pięć godzin okręt dobieje do amerykańskiego portu.

Mężczyzna stojący na tarasie w głębi duszy cieszył się, iż już niebawem jego morska wyprawa dobiegnie końca. Pierwszego dnia czuł się fatalnie, miał nudności i nie był w stanie nic przekąsić. Paskudne samopoczucie było gorsze niż najbardziej wymyślne tortury i ustało dopiero po kilkunastu godzinach rejsu. Praktycznie pierwszą dobę podróży spędził w toalecie. Przez kolejne trzy dni zmiany czasu sprawiły, że jego naturalny zegar biologiczny po prostu zwariował. Mężczyzna od wielu lat zaczynał swój każdy dzień o piątej rano, jednak w trakcie rejsu budził się zdecydowanie wcześniej. Dziś wstał dokładnie o czwartej dwadzieścia trzy i kiedy spojrzał przez okno kajuty, zobaczył wschodzące słońce w kolorze dojrzałej pomarańczy. Gorejąca tarcza w połowie wychylała się ponad horyzontem, a jej jaskrawe światło odbijało się długą smugą na tafli oceanu.

Kolejnych dwadzieścia minut poświęcił na toaletę. Umył się, ogolił, a następnie założył ubranie. Potem spakował swoje wszystkie rzeczy do walizki i skrupulatnie sprawdził, czy niczego nie zostawił.

Kilka minut przed piątą wyszedł ze swojej jednoosobowej kajuty i udał się na taras. Miał nadzieję, że o tak wczesnej godzinie, nikt z pasażerów pierwszej klasy nie będzie tam szukał wrażeń.

Jego przypuszczenia okazały się trafne.

Spoglądając z góry, dostrzegł wielu ludzi na najniższym pokładzie. Ich widok nie był dla niego zaskoczeniem. Stare powiedzenie mówiło, że kiedy bogacz rankiem śpi, biedak już w polu tkwi. Pasażerowie trzeciej klasy byli przedstawicielami gminu, a tacy osobnicy nawet w niedziele i święta nie wylegiwali się do południa.

Niebawem mężczyznę czekała jeszcze ostatnia uczta w ekskluzywnej restauracji. Każdego dnia śniadanie było serwowane pomiędzy ósmą a jedenastą. Jednak wczorajszego wieczoru obsługa powiadomiła każdego z gości pierwszej klasy, iż rejs zakończy się jutro przed godziną dziesiątą i z tego powodu poranny posiłek zostanie podany między szóstą a ósmą rano.

Mężczyzna w czarnym garniturze podejrzewał, że większość podróżnych pojawi się w restauracji o czasie. Zapewne potem niektórzy goście udadzą się na zewnętrzny pokład, żeby wypatrywać na horyzoncie zarysów północnoamerykańskiego kontynentu.

– *Jakie mnie czeka życie na obcej ziemi?* – szepnął w duchu i niemal natychmiast jego umysł nawiedziła znajoma refleksja. Od wielu lat szukał odpowiedzi na bardzo filozoficzne pytanie, chociaż zdawał sobie sprawę, że być może dopiero po śmierci pozna odpowiedź. Zastanawiał się, czy los każdego człowieka jest z góry przesądzony? Czy wcześniej został spisany w Boskiej Księdze Życia? *A może wszystko zależy od nas, od decyzji, które podejmujemy każdego dnia i od naszych poczynań?*

– zapytał samego siebie, a zaraz potem doszedł do wniosku, że chociaż dokonujemy wyborów, to jednak inni ludzie mają niebagatelny wpływ na nasze życie. Tak było w jego wypadku, bowiem on sam, raczej nigdy z własnej woli nie ruszyłby w podróż do Ameryki. Nigdy mu również nie zaświtało w głowie, że w przyszłości ktoś inny podejmie decyzję, a on zostanie obciążony wykonaniem zadania i znajdzie się w tym miejscu, gdzie był teraz.

Mężczyzna spojrzął w zachodnim kierunku na ostatnie, połyskujące punkciki gwiazd. Z zachwytem obserwował jak ich diamentowy blask, z każdą chwilą zaczynał konać w świetle dnia.

Gdyby jego rozmyślania na temat ludzkich losów i Boskiej Księgi Życia jakimś cudem okazały się prawdą, wtedy najbardziej odległa przyszłość musiałaby się ziścić.

Był 21 lipca 1922 roku, a zegarek mężczyzny pokazywał dokładnie godzinę piątą piętnaście.

W tym samym czasie w odległym, argentyńskim Buenos Aires wybił kwadrans po szóstej. Pewna nastoletnia dziewczyna zmierzała na targowisko, aby na polecenie swego ojca dokonać kilku niezbędnych zakupów. Wśród tłumu nagle dostrzegła przystojnego młodzieńca. Ich oczy spotkały się, a chłopak posłał jej zalotny uśmiech. Kilka lat później tych dwoje ludzi zawarło związek małżeński. Owocem ich miłości został uroczy chłopczyk, którego ćwierć wieku później świat ochrzcił mianem jednego z największych rewolucjonistów XX wieku. W przyszłości miał się zapisać na kartach historii jako Che Guevara.

Różnica czasu pomiędzy pozycją, na której znajdował się płynący transatlantyk, a Krajem Kwitnącej Wiśni wynosiła trzynaście godzin. W Japonii wskazówki zegarów pokazywa-

ły osiemnastą piętnaście. W prowincji Izumo przyszła wtedy na świat drobna, skośnooka dziewczynka. Niewinna kruszynka urodziła się z poważną wadą kręgosłupa, a owo kalectwo zamieniło jej dalsze życie w koszmar. Gehenna trwała przez długie dwadzieścia trzy lata. Zdeformowane kobiece ciało oraz umęczony umysł, który w nim mieszkał, zniknęły z powierzchni ziemi dosłownie w mgnieniu oka. Jej cierpienia zakończyła eksplozja bomby atomowej, którą w przyszłości rzucono na Hiroszimę.

W ojczystym kraju mężczyzny, który płynął okrętem zmierzającym do portu w Nowym Jorku i oddawał się filozoficznym rozmyśleniom, była godzina jedenasta piętnaście. Na peryferiach niedużej miejscowości Wronki, stał ponury kompleks więziennych budynków, wzniesionych przez Prusaków u schyłku ubiegłego stulecia. Z oddali ceglaste mury przypominały mroczną twierdzę ze strzelistą wieżą. Pośrodku więziennego dziedzińca, który był wybrukowany kocimi łbami, klęczał młody chłopak. Na twarzy miał wyraźne ślady brutalnego pobicia i plamy zaschniętej krwi. Ów młodzieniec został skazany na karę dożywocia za zbrodnię, której nie popełnił. Być może urodził się pod pechową gwiazdą, albo Bóg wystawił go na okrutną próbę, ale kolejnych sześćdziesiąt osiem lat miał przeżyć w więziennych murach. Zjawił się tutaj u progu dorosłego życia, a wolność odzyskał, będąc już sędziwym starcem. Padł ofiarą niesprawiedliwości i wiódł gorzką egzystencję. W przeciągu lat, które dopiero miał spędzić za kratami, popełnił kilka błędów, ale zawsze starał się pozostać przyzwoitym człowiekiem.

Gdyby ktoś chciał w paru zdaniach opisać losy wszystkich ludzi, którzy istnieli na świecie w tym samym momencie, kiedy transatlantyk „Rotterdam IV” był coraz bliżej doków nowojorskiego portu, musiałby posiadać dar wiecznego życia.

Mężczyzna stojący samotnie na tarasie pierwszej klasy usłyszał nagle roześmiane, dziecięce głosy. Machinalnie obrócił głowę i spojrzał w kierunku, skąd dochodził wesoły gwar. W progu szerokich drzwi ujrzał czteroosobową rodzinę. Do jego uszu docierały słowa, ale nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, w którym kraju ludzie posługują się takim językiem. Mężczyzna będący zapewne głową tej rodziny wyglądał niczym biblijny Golem. Postura, jaką został obdarzony oraz surowa uroda, sugerowały, że w jego żyłach płynie krew walecznych wikingów.

Kilka minut później po deskach tarasu spacerowało coraz więcej ludzi.

Człowiek w czarnym garniturze stał w tym samym miejscu i spoglądał w zachodnim kierunku. Palcami prawej dłoni poprawiał właśnie koloratkę, która uwierała go w szyję, kiedy tuż za swoimi plecami usłyszał damski głos, a w jego uszach zadźwięczała nienaganna polszczyzna:

– Antoni, spójrz tylko, jak cudownie wygląda wschodzące słońce ponad oceanem!

– Tak tak, cudownie – padła odpowiedź, w której nie było nawet nutki uniesienia. – Wybacz moja droga, ale mam ważniejsze sprawy na głowie niż zachwycanie się naturalnymi drobiazgami.

– Ach – westchnęła kobieta z teatralną przesadą – nie ma w tobie nawet za grosz romantyzmu! Myślisz czasami o rzeczach, które nie są związane z twoimi interesami? – zapytała z lekkim wyrzutem.

– Rzadko, bo rzadko, ale czasami myślę – skwitował.

Mężczyzna stojący przy balustradzie obrócił się i rzekł z pogodnym uśmiechem na ustach:

– Dzień dobry państwu!

Dwie pary oczu spojrzały na niego zaskoczonym wzrokiem. Pasażerowie, których grzecznie przywitał byli od niego zdecydowanie starsi.

– Niech będzie pochwalony, proszę księdza! – kobieta niemal zaświergotała z radości.

– Dzień dobry – odparł jej towarzysz i w tym samym momencie uniósł nieznacznie rondo słomkowego kapelusza.

– Nasza podróż dobiega końca, a ksiądz dopiero teraz ujawnia, że jest Polakiem? – kobieta bardziej twierdziła, niż pytała: – Jaka szkoda, prawda Antoni? Jaka szkoda – powtórzyła, a jej słowa brzmiały nad wyraz szczerze. – Zwróciłam uwagę, że ksiądz jada samotnie posiłki, ale byłam przekonana, że ktoś o takiej urodzie ma aryjskie pochodzenie. Zwiódł mnie blond włosy i niebieskie oczy – wyznała. – Żałuję, że nie mieliśmy okazji poznać się wcześniej. Na pewno milej spędziłabym podróż w towarzystwie osoby duchownej, niż wysłuchując rozmów mojego męża z jego nudnymi, słowackimi współnikami – kobieta trąkotała jak nakręcona.

Jej towarzysz nagle chrząknął i rzekł:

– Nazywam się Antoni Nurkiewicz, a to moja małżonka, Julia – przedstawił.

– Julia Nurkiewicz – powiedziała kobieta i zaraz dodała: – Z domu Olbracht.

– Miło mi – odparł ksiądz – jestem Szymon Roliński – po czym wyciągnął przed siebie dłoń i wymienił uściski z nowo poznanymi ludźmi.

Po kilku zdaniach rozmowy Julia rzekła:

– Antoni, chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby ojciec Szymon zjadł z nami śniadanie? – jednak jej słowa, brzmiące jak pytanie były jednocześnie żądaniem, które nie pozosta-

wiało nawet cienia wątpliwości, iż jej propozycja musi zostać spełniona.

Ksiądz mimowolnie zerknął na mężczyznę, a ten w odpowiedzi uśmiechnął się, pokiwał twierdząco głową i rzekł:

– Oczywiście. Zapraszamy do naszego stolika. Będzie nam niezmiernie miło.

Kwadrans później Roliński usiadł przy stole, gdzie oprócz małżeństwa Nurkiewiczów były jeszcze dwie inne pary. Towarzyszami okazali się słowaccy wspólnicy Antoniego wraz z małżonkami. Dyskusja nie nastroczała zbyt wielu problemów, bowiem język polski i słowacki są podobne, a wszelkie niezrozumiałe kwestie tłumaczył mąż Julii. Ksiądz dowiedział się, że mężczyźni są właścicielami czterech hut i udają się do Stanów, aby podpisać intratny kontrakt.

– To już nasza czwarta podróż do Ameryki – powiedziała Julia z dumą – pierwszy raz płynęliśmy rok po zatonięciu „Titanica” i powiem księdzu, że wtedy naprawdę się bałam. Jednak kiedy po szczęśliwym rejsie zeszliśmy na ląd i zobaczyłam Nowy Jork, byłam oczarowana jego potęgą. A ojciec był już w Stanach? – zapytała zniecierpliwiona.

– Nie – odparł – to moja pierwsza wizyta.

– A możemy poznać jej cel?

– Jadę do Chicago – powiedział – do parafii świętego Jacka – sprecyzował i dodał: – Mam tam pełnić obowiązki duszpasterskie.

– Do Chicago? – kobieta powtórzyła z niedowierzaniem i zaraz potem stwierdziła: – Ponoć to miasto jest bardzo imponujące i z tego, co wiem, stało się kolebką amerykańskiej Polonii. A jak ksiądz się dostanie z Nowego Jorku do Chicago?

– Pociągiem – odparł Szymon i sięgnął po dzbanek z kawą.

– To kolejne dwa dni drogi – odezwał się Antoni.

– Zazdroszczę księdzu podróży koleją – wtrąciła Julia – a szczególnie tych wszystkich urzekających i malowniczych krajobrazów, które będą się rozpościerały po drugiej stronie okna. Prawdę powiedziawszy, chciałabym przejechać żelazną koleją od wybrzeża do wybrzeża. To byłaby przygoda życia! – rzekła podekscytowanym głosem i dodała z rozmarzeniem: – Wsiąść do pociągu na Grand Central Terminal i jechać, jechać i jechać, aż do samego San Francisco. Antoni, co powiesz na mój pomysł? – rzuciła z uśmiechem.

– Obawiam się, że jest zbyt szalony i niemożliwy do realizacji – odparł mężczyzna.

– Oj Antoni! Trzeba korzystać, póki można, przecież nie będziemy żyć wiecznie, prawda?

– Moja droga...

– Wiem, że nigdzie nie pojedziemy – wpadła mu w zdanie i głośno westchnęła – tylko sobie głośno marzę – powiedziała i pogłaskała dłoń swojego męża.

Chwilę później pochyliła się w stronę księdza i szepnęła:

– Może kiedyś przekonam mojego ukochanego, żeby zabrał mnie na tak odważną ekspedycję.

Szymon usłyszawszy jej słowa, prawie zaśmiał się w głos i pomyślał, że Julia Nurkiewicz, która była już grubo po pięćdziesiątce, nadal miała duszę zwariowanej, niepokornej nastolatki. Tryskała energią, była wszystkiego ciekawa i wiodła prym w rozmowie. Małżonki współników pana Antoniego, wyglądały przy niej jak dwie smutne matrony i Roliński nie dziwił się, że wcześniej usłyszał z jej ust wyznanie o nudnej podróży. Kobieta z takim temperamentem potrzebowała towarzystwa wesołej kompanii, a nie dystygnowanych ponuraków.

– Chciałabym księdza o coś zapytać – powiedziała po chwili milczenia, które trwało niespełna pięć sekund. – O ile nie jest to kościelną tajemnicą, proszę mi wyjaśnić jak to się stało, że ojciec jedzie do Chicago? Przecież w kraju, do którego płyniemy, zapewne jest wielu duszpasterzy. Czy ksiądz starał się o taki wyjazd?

– Nie, nie starałem się – odparł – nigdy nawet nie myślałem, że przyjdzie mi udać się z posługą na drugą stronę oceanu.

– To jakim cudem ojciec się tutaj znalazł?

– Ależ Julio – Antoni upomniał swoją małżonkę i powiedział spokojnym, opanowanym tonem – daj panu odpowiedzieć na pytanie. Powstrzymaj na moment swoją ciekawość, bo niczego się nie dowiemy.

Szymon w tej samej chwili pomyślał, że skoro współwłaściciel czterech hut nazwał go panem, to chyba musiał mieć nieco umiarkowany stosunek do kościoła rzymskokatolickiego i rzekł:

– Sześć lat temu ukończyłem z wyróżnieniem Wyższe Metropolitalne Seminarium Duchowne. Na wniosek biskupa Archidiecezji Warszawskiej, przez kolejny rok rezydowałem w kurii, jako jeden z jego sekretarzy. Następnie oddelegowano mnie do warszawskiej parafii pod wezwaniem świętego Jakuba Apostoła, gdzie spędziłem ponad cztery lata. Dwa miesiące temu zostałem wezwany przed oblicze biskupa i dowiedziałem się, że dalszą posługę kapłańską będę pełnił w Chicago. W kościele panuje hierarchia bardzo podobna do struktur wojskowych. Przełożeni ustalają strategię i podejmują decyzje. Taki system funkcjonuje od wieków, a każdy ksiądz musi mieć w sobie coś z mentalności żołnierza.

– Ciekawe – skwitował Antoni. – A zagraniczny wyjazd na placówkę kościelną jest formą awansu czy kary? – zapytał i uniósł do góry brwi.

– Mój drogi, ależ zadałeś niedorzeczne pytanie! – wtrąciła Julia i surowym wzrokiem spojrzała na swego męża. – Na drugą stronę globu wysyła się raczej ludzi sumiennych i godnych zaufania, którzy podążają trudnym obowiązkom. Mam rację, prawda? – wypowiadając trzy ostatnie słowa, spojrzała na twarz młodego księdza.

– Wszelkie decyzje związane z wyjazdami na misje lub do parafii położonych w dalekich zakątkach świata, są wyróżnieniem – wyjaśnił Szymon – i zapadają po konsultacjach ze Stolicą Apostolską. W moim wypadku ważnym aspektem był fakt, iż chicagowska parafia pod wezwaniem świętego Jacka, skupia wiernych pochodzenia polskiego. Bardzo istotna jest kwestia komunikacji językowej, pomiędzy kapłanem i parafianami. Ważne są obrządki religijne, sakramenty i przede wszystkim spowiedź... – ksiądz ciągnął swój wywód i przedstawiał sensowne argumenty, które były brane pod uwagę przez władze kościelne w doborze właściwego kandydata.

Kilka razy Antoni musiał wyjaśnić swoim słowackim współnikom niezrozumiałe dla nich kwestie.

Szymon powiedział, że z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości, przybrał na sile exodus rodzimych emigrantów, a większość z nich, jako docelowy punkt swej podróży, obierała miasto Chicago. Dodał również, że parafią opiekuje się wiekowy proboszcz i potrzebuje pomocy. Nie powiedział natomiast ani słowem, jaki był prawdziwy powód jego wyjazdu. Poprzednik Szymona, który od kilku lat, ramię w ramię z proboszczem pełnił posługę duszpasterską, kilka miesięcy temu stracił wiarę. Opuściło go powołanie, zrzucił sutannę, okradł parafialną kasę i zniknął bez śladu. Zostawił list pożegnalny, w którym stwierdził, że ma dość obłudy i fałszu, a wobec swojego bezpośredniego przełożonego użył epitetów

ogólnie uznanych za wulgarne i obraźliwe. Wysłał również list do warszawskiej kurii i wyjawiał kilka haniebnych faktów. Popełnił przestępstwo, ale zdawał sobie sprawę, że uniknie jakichkolwiek problemów i nie poniesie żadnej odpowiedzialności. Sprawa była zbyt kompromitująca dla władz kościoła, które wołały ukryć incydent niż powiadamiać amerykańskie organy ścigania. Po jego zniknięciu parafianie dowiedzieli się, że ksiądz został odwołany ze swego stanowiska i wrócił do ojczyzny. Jednak nie wszyscy wierni uwierzyli w tę wersję wydarzeń, a z ust do ust krążyła plotka, że duchowny uciekł na zachód w poszukiwaniu nowego życia.

– Czyli wybrali księdza – stwierdziła Julia – bowiem był najlepszym kandydatem na owo stanowisko.

– Czy byłem najlepszym, tego nie wiem – odparł. – Na moją niekorzyść mógł świadczyć fakt, że nie znam języka angielskiego...

– Nie?! – jego rozmówczyni powiedziała zaskoczonym głosem i niemal natychmiast dodała: – Proszę się nie martwić, szybko się ojciec nauczy. Mnie osobiście wystarczyły cztery miesiące.

– Bo ty jesteś zdolna – skwitował Antoni.

– A ma ksiądz już bilet na pociąg? – Julia zmieniła wątek rozmowy.

– Nie. Armator nie potrafił dokładnie określić, kiedy dobijemy do portu – wyjaśnił. – Mam nadzieję, że uda mi się dotrzeć do dworca kolejowego i kupić bilet na najbliższe, bezpośrednie połączenie.

– Jaki ojciec ma z sobą bagaż? – zainteresowała się kobieta.

– Tylko jedną walizkę.

– Z portu na dworzec jest kawał drogi – rzekła. – Antoni, jak tylko zejdziemy na ląd, to w pierwszej kolejności podwie-

ziemy naszego nowego znajomego do Grand Central Terminal, a ja z przyjemnością pomogę księdzu kupić bilet.

– Oczywiście – odparł współwłaściciel czterech hut.

– Będę sobie wyobrażała, że kupuję ticket dla siebie – dodała Julia, wtrącając w zdanie słowo, które wypowiedziała z iście amerykańskim akcentem, po czym posłała pozostałym promienny uśmiech.

Niespełna godzinę później małżeństwo Nurkiewiczów i ksiądz Szymon, oddając się konwersacji, siedzieli przy jednym ze stolików na zewnętrznym pokładzie.

– Największą zaletą podróży w pierwszej klasie jest zwolnienie z badań na Ellis Island – powiedział Antoni – a z tego, co mi wiadomo, większość ludzi spędzi na tej wyspie kilka dni. My natomiast posiadamy ten luksus, że przejdziemy trappem do punktów odprawy celnej, która jest czystą formalnością i sprawa załatwiona.

– Kilka dni? – zapytał zaintrygowany ksiądz.

– Kontrola jest bardzo skrupulatna – wyjaśnił Nurkiewicz – każda diagnoza, sugerująca nawet w małym stopniu zły stan zdrowia, skutkuje odesłaniem na kwarantannę. Jeżeli u kogoś stwierdzą chorobę psychiczną albo trwałe kalectwo, wówczas taki człowiek musi wrócić tam, skąd przybył. Czytałem kiedyś artykuł prasowy o umowie pomiędzy liniami transatlantyckimi i rządem USA. Jeden z żelaznych paragrafów porozumienia mówi o tym, że każdą osobę, która nie otrzyma wizy wjazdowej, armator ma obowiązek zabrać na własny koszt z powrotem do macierzystego portu.

– Straszne – szepnęła Julia.

Późnym popołudniem ksiądz Szymon zajął miejsce w sy-
pialnym przedziale pierwszej klasy, pociągu jadącego z No-
wego Jorku do Chicago. Skład należał do jednego z najbar-
dziej znanych przedsiębiorstw kolejowych Union Pacific Ra-
ilroad, które cieszyło się pochlebnymi opiniami.

Roliński w duchu dziękował Bogu, że spotkał małżeństwo
Nurkiewiczów. Nowi znajomi okazali się bardzo życzliwymi
ludźmi. Po zejściu na ląd zawieźli Szymona na dworzec kole-
jowy, a Julia pomogła duchownemu przy zakupie odpowied-
niego biletu.

Na odchodne powiedziała:

– Niechaj ojcu się wiedzie. Ciekawe czy kiedyś przyjdzie
nam się jeszcze spotkać?

– Jeżeli kiedykolwiek zawitacie państwo w Chicago, pro-
szę mnie koniecznie odwiedzić – odparł, po czym uściśnął im
dłonie, życząc błogosławieństwa bożego.



Julia i Antoni Nurkiewicz nigdy więcej nie zobaczyli Szy-
mona. Gdyby tamtego popołudnia ktoś miał okazję zerknąć

w Boską Księgę Życia, odnalazłby ich historie i poznał przyszłość tych dwojga ludzi. Współwłaściciel czterech hut, miał umrzeć jesienią 1926 roku na zawał serca, natomiast jego małżonce zostało dane dożyć sędziwego wieku. Zginęła jesienią 1939 roku podczas bombardowania Rzeszowa przez powietrzną flotę Luftwaffe.

* * *

Minęło dwanaście miesięcy od chwili kiedy Szymon Roliński odprawił swoją pierwszą mszę w kościele pod wezwaniem świętego Jacka. Cieszył się, że w progi świątyni przybyły rzesze wiernych mieszkających w kwartałach ulic chicagowskiej dzielnicy Avondale.

Rok później dokładnie tego dnia, kiedy przypadała owa pamiętna rocznica, stało się coś, co w pewnym sensie było nieuniknione. Podczas poniedziałkowej kolacji w budynku parafialnym doszło do ostrej wymiany zdań pomiędzy proboszczem i jego pomocnikiem. Z pozoru niewinna rozmowa, zniechęca niemalże przerodziła się w kłótnię. Po dwóch stronach barykady stanęły naprzeciw siebie konserwatywne poglądy i ambitna nadzieja na zmiany. Tamtego wieczoru ksiądz Szymon zrozumiał, że dla niektórych ludzi kościoła, podwaliny wiary nie mają nic wspólnego z Bogiem.

– Jak długo tutaj jesteś? – zapytał proboszcz, cedząc przez zęby każde wypowiedziane słowo.

– Ponad rok – odparł Szymon.

– I nagle wydaje ci się, że potrzeba nam tutaj reform, tak? Doceniam twą troskę o naszych parafian, ale nie masz pojęcia, jakimi kategoriami kieruje się egzystencja w tym kraju.

Poświęciłem wiele lat życia w budowę tej wspólnoty i nie pozwolę abyś zniszczył owoce mojej pracy!

– Nie chcę niczego niszczyć – zaoponował ksiądz łagodnym tonem – po prostu twierdzę, że powinniśmy...

– Milcz! – stary proboszcz wpadł mu w zdanie. – Nie masz o niczym pojęcia! Minęło dwanaście bitych miesięcy, a ty nadal nie rozumiesz, w czym rzecz. Zadziwiające! Doprawdy zadziwiające! Kiedy przyszedłeś na świat? – zapytał, zmieniając nagle temat rozmowy.

– Trzydzieści lat temu – odpowiedział.

– Więc wyobraź sobie, że dokładnie przed dwudziestu dziewięciu laty, a konkretnie w dzień Bożego Narodzenia 1894 roku w miejscu, gdzie dziś stoi okazała, murowana bazylika był drewniany kościół, w którym odbyła się pierwsza msza święta. Dom Boży wzniesli niektórzy potomkowie naszych parafian. Dziesięć lat później położono kamień węgielny pod budowę nowej świątyni. Trwałej i mocnej, zbudowanej z cegieł. Obecnie jest symbolem polskości i wiary. Posiadamy szkołę, salki katechetyczne, dom pogrzebowy, zaplecze gospodarcze, siostry zakonne prowadzą przedszkole... Mam wymieniać dalej? Sądzisz, że to jest nadal zbyt mało?

– Tego nie powiedziałem – odparł Szymon. – Twierdzę jedynie, że marnujemy olbrzymi potencjał.

– Marnujemy?! O czym ty mówisz?!

– Mamy pomieszczenia, w których moglibyśmy organizować kursy zawodowe dla niewykwalifikowanych robotników i lekcje nauki angielskiego dla dorosłych. Ojciec nie widzi, że nasi parafianie trwają tutaj w zamkniętej, odosobnionej enklawie? Oczywiście muszą pamiętać o swoich korzeniach, o kraju z którego pochodzą, ale wspólnymi siłami powinniśmy zadbać, aby ta polskość nas nie zjadła. Musimy dołożyć

starań, żeby nasi rodacy mieszkający w Avondale mogli czuć się swobodnie nawet poza granicami dzielnicy. Większość pracuje za najniższe stawki, mało kto potrafi załatwić podstawowe sprawy urzędowe, a nieznajomość angielskiego spycha ich na społeczny margines.

– Wiesz, o co masz się martwić? – odparł proboszcz i nie czekając na odpowiedź swojego rozmówcy, ciągnął dalej: – Żeby ludzie przychodzili na msze oraz nabożeństwa i żeby nie szczędzili datków na tacę. Masz pojęcie, jak duże są koszty związane z utrzymaniem nawet samych budynków parafii? Wiecznie coś wymaga drobnych napraw i remontów, trzeba opłacać słone rachunki, odprowadzać należne podatki za grunty i nieruchomości, woda, prąd, śmieci, opał...

– Pozwolę sobie zauważyć – wtrącił Szymon – że kościoły wszystkich wyznań, które znajdują się w Chicago mają identyczne problemy.

– I co z tego?! – warknął stary klecha.

– Jednak wielu pastorów, jak również katolickich księży prowadzi działalność społeczną dla dobra wspólnoty, którą reprezentują. Wystarczy spojrzeć na Włochów albo Irlandczyków...

– Dość! – proboszcz uderzył otwartą dłońią w blat stołu przy którym siedzieli. – Dość! Powiem tak, dopóki piastuję najważniejszą funkcję w tej parafii, dopóty będzie tak, jak postanowię i basta! Nie będzie żadnych utopijnych działań i reformacji według twoich pomysłów. A może jeszcze sądzisz, że w naszym kościele powinny rozbrzmiewać liturgiczne pieśni w wydaniu gospel? – zapytał z kpiną.

Szymon miał ochotę powiedzieć, iż osobiście nie miałby nic przeciwko temu, ale nie wyraził własnej opinii, tylko rzekł:

– Mamy swoje tradycje i powinniśmy im hołdować. Nie

roztaczam wizji o jakichkolwiek zmianach obrządków religijnych. Mówię jedynie o rzeczach, które mogą zmienić i poprawić los wielu naszych parafian. Z miesiąca na miesiąc przybywa z Polski coraz więcej emigrantów. Przychodzą do kościoła, biorą udział w mszach i wyluskują ostatnie centy na ofiarę. Jesteśmy zobowiązani, żeby im pomóc.

Proboszcz nadał policzki, zamknął oczy i udając znużenie, wypuścił z płuc powietrze.

– Nie musisz mnie karmić frazesami – rzekł po chwili oschłym tonem – i przyjmij do wiadomości, że pomiędzy nadmierną ambicją a głupotą, biegnie granica cienka niczym ludzki włos. Nie licz na to, że w przyszłości przejmiesz po mnie schedę – zakomunikował i patrząc Szymonowi prosto w oczy, dodał – w kwartalnych sprawozdaniach, które wysyłam do kurii w Polsce, wspomnę o twoich pomysłach. Szczegółowo wątpię, żeby wzbudziły tam czyjekolwiek zadowolenie.

Roliński poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu siarzysty policzek.

Dalsza rozmowa nie miała najmniejszego sensu i dlatego wstając z miejsca, powiedział:

– Dziękuję za wspólny posiłek i życzę ojcu dobrej nocy.

Szymon dosunął krzesło do stołu, po czym obrócił się na pięcie aby odejść, kiedy usłyszał:

– Myślę, że poczynawszy od jutra, powinienes doświadczyć, ile kosztuje życie we współczesnym świecie, a wtedy dopiero docenisz, jak wiele dobroci otrzymałeś. Od roku opłacam twoje korepetycje z angielskiego, to po pierwsze. Po drugie, każdego dnia dostajesz na farze darmowe posiłki, po trzecie masz dach nad głową, wyprane i posprzątane. Po czwarte – wiekowy klecha rzekł, unosząc do góry wskazujący palec prawej dłoni – otrzymujesz jeszcze pieniądze na własne

wydatki. Niczym nie musiałeś się martwić, ale teraz koniec z tym! Koniec z przywilejami! Będziemy się rozliczać, jak w każdej normalnie funkcjonującej firmie. Co tydzień dostaniesz uczciwą wypłatę. Ja mam jedynie obowiązek, zapewnić ci darmowe mieszkanie i nic poza tym. Od teraz sam będziesz martwił się o własną egzystencję. Nie interesuje mnie co będziesz jadł i gdzie. Jeżeli chcesz urządzić kursy zawodowe i doskonalenie nauki języka, proszę bardzo. Droga wolna. Masz moje pozwolenie, możesz korzystać z sali katechetycznej, ale prowadzących zajęcia, opłacasz z własnej kieszeni. Od parafialnych datków wara! I możesz być pewien, że przekażę kurii moją opinię na twój temat. Tylko nie licz na to, że będzie pochwalna. Rozumiesz? – zapytał z wyeksponowaną w głosie wyższością.

– Rozumiem – odparł Szymon i chociaż nie zamierzał już nic więcej powiedzieć, z jego ust popłynęły słowa, nad których treścią nie zapanował: – Tylko w liście do biskupa niech ojciec nie zapomni przekazać faktów o tym, że z parafialnej tacy hojnie wspiera swoją rodzinę w Polsce.

Na dźwięk tych słów proboszcz zacisnął zęby, a jego twarz momentalnie poczerwieniała.

* * *

Przez blisko trzy kolejne lata ksiądz Szymon, żył hołdując własnym zasadom. Płynnie posługiwał się angielskim zarówno w mowie, jak i w piśmie. Wśród ludzi nie zabiegał o uznanie i szacunek, nie szukał poklasku i nie oczekiwał wdzięczności. Zawsze starał się być pomocnym i życzliwym, bowiem tkwiła w nim silna potrzeba niesienia dobra, otuchy i wsparcia. Parafianie bardzo szybko docenili jego starania i w ich oczach, zaczął uchodzić za wyjątkowego człowieka. Był wzorem osoby duchownej, namaszczonej boskim powołaniem. Dla wielu stał się prawdziwym autorytetem, a dzieci polskich emigrantów, mówiły na niego „father Simon”. Większość wolnego czasu spędzał na ulicach dzielnicy Avondale, ochrzczonej przez inne nacje terminem „Polish Village”. Podczas spacerów zawsze miał okazję z kimś porozmawiać, wysłuchać i doradzić. Nigdy nie odmówił zaproszenia na chrzciny, pierwszą komunię świętą, wesele, stypę czy też na prywatną uroczystość. Nie przynosił z sobą wyszukanych prezentów, ale nigdy nie przybywał z gołymi rękami. Kiedy zjawiał się w piekarni po świeże pieczywo, albo krążył pomiędzy straganami lokalnego targowiska, wielokrotnie musiał nalegać, żeby sprzedawcy przyjęli od niego zapłatę za

towar. Ksiądz Szymon był również baczny obserwator i widział, co dzieje się w dzielnicy. Dostrzegał wiele rzeczy, zarówno dobrych jak i złych. Dzięki udzielanym spowiedziom, miał świadomość, w których rodzinach panują niesnaski i konflikty. Wysłuchiwał cudzych, wstydliwych grzechów ale nikogo nie potępiał. Widział jak niektórzy pną się w górę i polepszają swój byt. Jedni ciężko pracowali na sukces, a inni podążali śliskimi ścieżkami cwaniactwa i wrodzonego sprytu. Roliński za własne pieniądze opłacał nauczycielkę języka angielskiego, która dwa razy w tygodniu prowadziła lekcje w salce katechetycznej. Dzięki tym zajęciom wielu ludzi liźnęło językowych podstaw, jednak mimo to, „Jackowo” nadal zagorzale broniło się przed światem rozpościerającym się poza obrzeżami parafialnych ulic. Father Simon miał nie tyle świadomość, co żywił nadzieję, że ta sytuacja kiedyś ulegnie zmianie. Nigdy o tym nie powiedział ani publicznie, ani w jakiegokolwiek prywatnej rozmowie, że jego zdaniem dopiero wnuki obecnych mieszkańców, mają szansę zmienić ten stan rzeczy.

Od chwili pamiętnej rozmowy z proboszczem, stosunki obu duchownych nie uległy polepszeniu. Mężczyźni nie wchodzili sobie w drogę, tolerowali swą obecność, a przed obcymi zachowywali pozory normalności. Ksiądz Szymon nigdy się nie dowiedział, jakie opinie dotyczące jego osoby, zawierały kwartalne sprawozdania wysyłane na adres kurii.

W ostatnim tygodniu lutego 1926 roku wiekowy proboszcz dostał wylewu. Wcześniej nie narzekał na żadne dolegliwości i nie uskarżał się na swoje zdrowie. Po prostu pewnego przedpołudnia padł na posadzkę w przedpokoju i stracił przytomność. W domu była wtedy tylko pani Jadzia, zatrudniona na

etacie gosposi, która zajmowała się sprzątaniami fary i gotowaniem posiłków. Kobieta zachowała zimną krew i pobięła po pomoc.

Proboszcz w krytycznym stanie trafił do szpitala.

Jeszcze tego samego dnia, Szymon usłyszał z ust ordynatora:

– Proszę księdza, trudno mówić o jakichkolwiek rokowaniach. Dzisiejsza medycyna nie zna odpowiedzi. Nie wiem czy pacjent odzyska świadomość i wróci w pełni do zdrowia, czy też będzie częściowo sparaliżowany. Przykro mi – lekarz rozłożył ręce w geście bezradności i dodał: – Chciałbym, ale nie potrafię postawić jednoznacznej diagnozy. Powiem uczciwie – rzekł spokojnym, opanowanym głosem – proszę się pozbyć optymistycznych złudzeń. Jeśli pacjent wydobreje, wtedy przez kolejne długie miesiące, będzie wymagał specjalistycznej, całodobowej opieki.

Organizm proboszcza nie był na tyle silny, żeby wyjść obronną ręką. Przełożony Szymona zmarł trzy tygodnie później. Gdyby w międzyczasie sędziwy klecha odzyskał przytomność, być może chciałby coś wyznać i naprawić przykre sprawy, ale niestety nie było mu to dane.

Szymon wysłał telegram do kurii z przynębiającą wiadomością i poprosił kościelne władze o dalsze wytyczne. Odpowiedź otrzymał kilka dni później. Tymczasowo miał przejąć obowiązki proboszcza i cierpliwie czekać na dalsze decyzje i wsparcie.

Konkretnie postanowienia przysłyły tuż po świętach wielkanocnych, a do parafii dotarło dwóch księży z Polski, którzy mieli wesprzeć samotnego kapłana w duszpasterskich posługach. Duchowni przywieźli z sobą list zawierający wytyczne warszawskiej kurii.

W drugą niedzielę kwietnia 1926 roku ojciec Szymon podczas sumy odczytał z ambony pismo kościelnych władz, z którego wynikało, iż został mianowany proboszczem chicagowskiej parafii pod wezwaniem świętego Jacka.